№ 63. Warszawa, dnia 25 Lipca / 6 Sierpnia 1872 roku. Tom II. — Rok I.

WIENIEC

PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.



Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 5 kop. 40. półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs 1 kop. 35. Wieniec wraz z dodatkiem Encyklopedyi Powszechnéj w 8-miu tomach rocznie Rs. 9 kop. 40, kwartalnie: Rs. 2 kop. 35.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Rocznie rs. 8, kwartalnie rs. 2, wraz z dodatkiem Encyklopedyi rocznie rsr. 13, kwartalnie rsr. 3 kop. 25.

Wydawca Hipolit Orgelbrand.

Ekspedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austryackiém: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego kwartalnie: flor. 3 cent. 25; wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwartalnie florenów 5 cent. 5.
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich i pożytecznych, kwartalnie: flor. 3, wraz z dodatkiem Encyklopedyi flor. 4 cent. 80.
W W. Ks. Poznańskiém: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½, wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwart. tal. pr. 2 sgr. 22½.

OKO NIEWIDZIALNE.

OPOWIADANIE

ERCKMANN-CHATRIANA.

II.

Dokończenie. (*Ob. Nr. 62*).



ak przeszła noc—świtanie powlekło szarą barwą szyby mego okienka: stopniowo ruch miejski wzrastał i dochodził do moich uszów. Zwyciężony znużeniem i wzruszeniem, usnąłem nareszcie—ale sen to był krótki. O ósméj, byłem już na stanowisku.

Stara Fledermaus przepędziła jak się zdawało noc niemniéj od mojéj burzliwą; gdym ją ujrzał we drzwiach galeryi, żółta bladość pokrywała jéj policzki i kark chudy. Wyszła w koszuli i w wełnianéj spódnicy, kilka kosmyków rudawo-siwych włosów spadało jéj na ramiona Spojrzała w moją stronę z miną rozmarzoną, ale nie spostrzegła,—myślała snać o czém inném. Nagle zbiegła ze schodów zostawiając na górze swoje trzewiki; poszła prawdopodobnie zapewnić się czy drzwi na dole dobrze były zamknięte. Widziałem potem jak wracała przeskakując po cztery stopnie—byłto straszny widok. Wpadła do sąsiedniego pokoju i usłyszałem stuk jakby spadającego wieka od dużego kufra. Potem Fledermaus ukazała się na galeryi ciągnąc za sobą manekin; manekin ten ubrany był w suknie studenta heidelberskiego.

Z zadziwiającą zręcznością stara zawiesiła ten ohydny przedmiot na belce w szopie i zeszła dla przypatrzenia mu się z podwórza. Wybuchnęła urywanym śmiechem, weszła na schody, zeszła znowu jak obłąkana, za każdym razem wydając nowe okrzyki, wybuchając nowym śmiechem.

W tem koło drzwi dał się słuszeć jakiś odgłos. Stara poskoczyła, zdjęła manekin, odniosła go i powróciła, potem schylona nad balustradą, z szyją wyciągniętą, z oczami iskrzącemi słuchała—odgłos się oddalał... muskuły jéj twarzy wolniały,—odetchnęła głęboko:—to powóz koło drzwi przejechał.

Wiedźma zlękła się.

Wtedy powróciła znowu do pokoju, i słyszałem jak zamykała kufer.

Ta dziwna scena wywołała okropny zamęt w moich myślach; co znaczył ów manekin?

Podwoiłem uwagę, i obserwowałem pilniéj niż kiedykolwiek.

Fledermaus wyszła ze swym koszykiem: śledziłem za nią aż do zakrętu ulicy. Przybrała znów postać i ruchy zgrzybiałéj trzęsącéj staruszki; dreptała drobnym krokiem i od czasu do czasu, zlekka odwracała głowę, oglądając się poza siebie z ukosa.

Upłynęło pięć długich godzin, a stara niewracała; ja przez ten czas krzątałem się, rozmyślałem. To oczekiwanie było nie do zniesienia. Słońce rozgrzewało dachówki i mózg mi paliło.

Spostrzegłem w oknie poczciwca zajmującego pokój zielony. Byłto wieśniak z Czarnego Lasu ubrany w wielki trójgraniasty kapelusz, i czerwoną kamizelkę. Twarz miał uśmiechniętą i wypogodzoną. Palił spokojnie swoją lulkę ulmską, niczego się niedomyślając. Miałem ochotę zawołać. „Poczciwcze! strzeż się—nie daj się zaczarować wiedźmie."—Ale nie byłby mię zrozumiał.

Około drugiéj godziny Fledermaus wróciła. Ukazała się w podwórzu i usiadła na pierwszym stopniu wschodów. Postawiła przed sobą koszyk z którego wydostała najprzód kilka wiązek zieleniny i jarzyn. Potem wyjmowała kolejno czerwoną kamizelkę, kapelusz trójgraniasty, kaftan z brunatnego aksamitu, spodnie pluszowe, parę grubych pończoch wełnianych: słowem kompletny ubiór wieśniaka z Czarnego Lasu.

W oczach mi się zaćmiło—potem jakby płomienie krwawe przelatywały przedemną—chwiałem się na nogach.

Przyszły mi na myśl owe przepaście przyciągające do siebie nieprzepartą siłą; owe studnie które trzeba było zasypywać, bo się w nie rzucano; owe drzewa które trzeba było ścinać, bo się na nich wieszano; ta epidemia samobójstw, morderstw, kradzieży w pewnych epokach, ta szczególna zaraźliwość przykładu która każe ziewać na widok ziewania, cierpieć na widok cierpienia, umierać dla tego że inni umierają... I z trwogi włosy powstały mi na głowie.

Jakim sposobem Fledermaus, ta ohydna istota mogła odgadnąć tak głębokie prawo natury? Jakim sposobem potrafiła je zużytkować na korzyść swych instynktów krwiożerczych?—Tego nie mogłem zrozumieć—byłoto nad siły méj wyobraźni. Nie zastanawiając się jednak dłużéj nad tą tajemnicą, postanowiłem natychmiast zwrócić fatalne prawo przeciwko staréj, i wciągnąć Fledermaus w jéj własne sidła. Niewinne ofiary wołały o pomstę.

Pobiegłem więc do wszystkich handlarzy starzyzny w Norymberdze, a wieczorem wszedłem do oberży *Pod tłustym wołem* z olbrzymim pakietem pod pachą.

Nickel Schmidt znał mię od dawna. Malowałem portret jego żony, tłustéj i bardzo apetycznéj kobieciny.

— Jakaż szczęśliwa okoliczność sprowadza was panie Krystyanie? zawołał ściskając mię za rękę. Czemu zawdzięczam przyjemność widzenia pana u siebie?

— Panie Schmidt, czuję gwałtowną chęć przepędzenia nocy w tym pokoju!

Staliśmy na progu oberży,—ja wskazywałem na pokój zielony. Poczciwiec spojrzał na mnie wzrokiem niedowierzającym.

— O nie obawiajcie się panie Schmidt, rzekłem do niego—nie myślę wcale wieszać się.

— No to chyba.—tak pan powiedz—bo doprawdy byłoby mi to bardzo przykro. A na kiedyż pan chcesz tego pokoju panie Krystyanie?

— Na dziś wieczór.

— Niepodobna—pokój już zajęty.

— Może go pan zająć natychmiast dał się słyszeć głos za nami—wcale mi o ten nocleg nie chodzi!

Odwróciliśmy sie ze zdziwieniem. Był to wieśniak z Czarnego Lasu w kapeluszu wtłoczonym aż na kark, z tłómokiem na końcu kija podróżnego. Dowiedział się o historyi trzech wisielców i drżał z gniewu.

— To mi pokoje w waszéj oberży! niema co mówić, krzyczał jąkając się z oburzenia—alež to po prostu zabójstwo ludzi tam umieszczać,—to morderstwo! Zasługujecie na galery.

— No, no, uspokójcie się, mówił oberżysta,—to wam nieprzeszkodziło spać wybornie.

— Moje szczęście że odmówiłem modlitwę wieczorną zawołał wieśniak—gdyby nie to, cóżby się zemną stało?

I oddalił się wznosząc ręce ku niebu.

— Takim sposobem, rzekł Nickel Schmidt,—pokój zielony jest wolny—ale pamiętaj pan, nie wypłataj mi figla.

— Sam bym za niego drogo zapłacił ojcze Schmidt.

Oddałem zawiniątko służącéj, i tymczasem zasiadłem w sali gościnnéj.

Dawno już nie czułem się tak spokojnym i zadowolonym z życia. Po tylu niepokojach, dochodziłem nareszcie do celu; widnokrąg zdawał się rozwidniać; czułem zresztą że jakaś potężna siła wspiera moje kroki. Zapaliłem lulkę i podparłszy się łokciem na stole, mając przed sobą szklankę, słuchałem chóru z *Wolnego Strzelca* śpiewanego przez gromadę cyganów z Czarnego Lasu. Trąba, róg myśliwski, obój pobudzały mię kolejno do nieokreślonych marzeń; chwilami gdy ocknąwszy się spojrzałem na zegar zapytywałem się czy wszystko co mi się wydarzyło nie było snem. Ale kiedy strażnik nocny poprosił nas abyśmy opróżnili salę—myśli poważniejsze opanowały mię zupełnie i poszedłem w milczeniu za małą Karolinką, która wyprzedzała mię ze świecą w ręku.

III.

Weszliśmy po schodkach na trzecie piętro. Służąca oddała mi świecę pokazując drzwi.

— To tam rzekła zbiegając spiesznie na dół.

Otworzyłem drzwi. Pokój zielony podobny był do wszystkich pokoi po oberżach. Łóżko miał usłane wysoko pod nizkim sufitem. Jednym rzutem oka objąłem całe jego wnętrze—potem pobiegłem do okna.

Nic jeszcze nie było widać w ruderze Fledermaus, tylko w głębi długiej ciemnej izby stało migotliwe światło,—zapewne lampa nocna.

— Dobrze, rzekłem do siebie, zasuwając firankę, mam czas na wszystko.

Rozwiązałem zawiniątko; włożyłem na głowę czepek kobiecy z szerokim garnirunkiem a uzbroiwszy się w przypalony korek, usadowiłem się przed zwierciadłem i zacząłem kreślić sobie zmarszczki na twarzy. Praca ta zajęła mi godzinę czasu. Ale kiedym przywdział suknię i wielki szal, przeląkłem się sam siebie. Fledermaus we własnéj osobie przypatrywała mi się ze zwierciadła.

W téj chwili strażnik nocny obwoływał jedenastą godzinę. Wydobyłem manekin który również przyniosłem z sobą w tłomoczku, przystroiłem go w taki sam kostium naśladujący ubranie wiedźmy, i odsunąłem firankę.

Zdawałoby się że po wszystkiem co już widziałem i doświadczyłem.—nic nie powinno mię było zatrwożyć — a jednak zadrżałem z przestrachu.

Ten punkt błyszczący dostrzeżony przed godziną w głębi pokuju, owa lampka nieruchoma rzucała teraz żółtawe światło na manekin wieśniaka z Czarnego Lasu, ustawiony w rogu łóżka z głową spuszczoną na piersi, z kapeluszem na twarz nasuniętym, z obwiśniętemi rękami. Był to istny obraz rozpaczy.

Cień rzucony z szatańską sztuką, pozwalał widzieć tylko ogólne zarysy postaci; kamizelka czerwona i okrągłe guziki rysowały się wyraźniéj na tle ciemności. Ale właśnie ta postawa nieruchoma, ten ponury wyraz pognębienia miały działać na wyobraźnię widza z niesłychaną potęgą. Ja sam, dla którego nic tu nie było tajemnicą, czułem dreszcz przejmujący mię do szpiku kości. Cóżby się było stało z biednym wieśniakiem zaskoczonym z nienacka? Straciłby w jednéj chwili wolną wolę, a duch naśladownictwa byłby dokonał reszty.

Zaledwie poruszyłem firanką, kiedy Fledermaus, była już na czatach za szybami okna.

Nie mogła mię widzieć. Odchyliłem z cicha okno; okno naprzeciwko otworzyło się; potem manekin wieśniaka zdawał się wstawać i zbliżać ku mnie; zbliżyłem się również i schwyciwszy jedną ręką za świecę, drugą popchnąłem nagle okno; wiedźma i ja staliśmy naprzeciwko siebie, bo zapominając się w osłupieniu, Fledermaus upuściła manekin.

Spojrzenia nasze skrzyżowały się z jednakową grozą.

Ona wyciągnęła rękę—i ja wyciągnąłem rękę; usta jéj poruszyły się i ja poruszyłem mojemi, ona wydała głębokie westchnienie i podparła się, i ja się podparłem.

Nie żądajcie bym opisywał tę straszną scenę. Była to jakaś mięszanina gorączki, obłędu, szaleństwa. Walczyły tu dwie wole, dwie intelligencye dwie dusze, z których jedna chciała zniweczyć drugą—a w téj walce jam był silniejszy, bo po mojéj stronie stały nieszczęśliwe ofiary.

Przez kilka chwil naśladowałem tak wszystkie ruchy Fledermaus, potem wydostałem z pod sukni postronek i przywiązałem go do pręta.

Stara spoglądała na mnie z otwartemi ustami. Okręciłem sznur około szyi. Źrenice staréj zaświeciły fosforycznym blaskiem, twarz zmieniła się w oka mgnieniu.

— Nie! nie! jęknęła głosem syczącym. Nie!

Ja zachowałem obojętność kata.

Wtedy wściekłość opanowała wiedźmę.

— Stara waryatka, zawyła nagle prostując się i chwytając konwulsyjnie za parapet okna—stara waryatka!

Nie dałem jéj dokończyć. Zadmuchnąwszy od razu światło, schyliłem się jak ktoś co się ma zapędzić, i zaciągnąwszy sznur na szyję manekinowi, rzuciłem go w przestrzeń.

Krzyk straszliwy rozległ się na ulicy.

Po tym krzyku wszystko nagle ucichło.

Pot strumieniem ściekał mi z czoła. Słuchałem długo. Po kwadransie usłyszałem z daleka z bardzo daleka głos strażnika nocnego wołający: Mieszkańcy Norymbergi północ... północ już wybiła.

— Sprawiedliwość wymierzona, szepnąłem, trzy ofiary pomszczone. Boże przebacz mi!

Działo się to mniéj więcéj w pięć minut po wołaniu strażnika. Wyjrzałem przez okno i spostrzegłem jak wiedźma zapatrzywszy się na swój własny obraz wylatała przez okno z postronkiem na szyi i zawisła na pręcie. Widziałem ostatni dreszcz śmierci przebiegający po jéj członkach—a księżyc który wychylił się z za rogu dachu dotkał swemi zimnemi i blademi promieniami jéj głowy pokrytej żółtawą bladością konania.

Nazajutrz cała Norymberga dowiedziała się że stara Fledermaus odebrała sobie życie. Ulica *Minnesaenger* była po raz ostatni świadkiem podobnego zdarzenia.

KONIEC.

KORESPONDENCYA.

Berlin w Lipcu 1872 roku.

Obawiam się istotnie wpaść w trywialność i prawić kommunały, jeśli powiem, że na bruku berlińskim rozpoczęła się *saison morte*, że rozpoczęły się ze stolicy prusko-niemieckiéj istne gminoruchy na wszystkie cztery strony świata, ku wodom różnego rodzaju, że ośmkroćstotysięczna cyfra ludności berlińskiéj spadła przynajmniéj o 20,000, i to najbogatszéj, najbardziéj świecącéj zewnętrznie i najintelligentniejszéj falangi. Niestety! jednakże zmusza mnie nieubłaganie do podobnéj trywialności i do zgrzeszenia podobnym kommunałem codzienna oczywistość, na którą dano mi patrzeć w czasie poobiedniéj kawy u poczciwego naszego Spargnapaniego. Z owego obserwatoryum położonego bardzo wygodnie w samym środku prawie zakurzonych mimo kilkakrotnego dziennie skrapiania *Lip*, widzę długie szeregi dorożek wlokących się z ludźmi i pakami zwykłym swym berlińsko-marchijskim truchtem ku najrozmaitszym dworcom kolei żelaznych. Spoglądając dalej na afisze, widzę jak mniejsze i przedmieściowe tylko teatra cieszą publiczność berlińską przedstawieniami, kiedy wielkie sceny królewskich teatrów, *Opery* i *Schauspielhausu* święcą czas feryjny i zapowiadają długą pauzę wypoczynkową aż do 1 Września. Uniwersytet kończy dopiero officyalnie kursa swe z dniem 15 Sierpnia, ale i na *jego* fizyonomii znać także już wpływ *der Saurengurkenzeit*; audytorya puste, professorowie tłumaczą się *„kommilitonom"*, że z powodu słabości zdrowia nie mogą kończyć odczytów i szukają ulgi w cierpieniach bądź to w Helgolandzie czy Norderney na rozdrażnione nerwy bądź w Kissingenie i Karlsbadzie na zwykłą Niemców chorobę *Unterleibsbeschwerden*. Co w Berlinie pozostało, wylega do Zwierzyńca, do Krolla, nadewszystko zaś do zoologicznego ogrodu, gdzie niejaki dr. Bodinus, wśród nie wdzięcznéj, ale umiejętnie i ze sztuką wyzyskanéj natury, w otoczeniu małp, papug, niedźwiedzi i tygrysów, urządził dla publiczności berlińskiéj na wielką skalę koncerta orkiestrowe. Koncerty te gromadzą liczną a stosunkowo najarystokratyczniejszą jeszcze po wyjeździe dworu, dygnitarzy i dyplomacyi część publiczności berlińskiéj, kiedy przeciwnie z drugiéj, wręcz przeciwbiegunowéj strony stolicy, na piaszczystych wzgórzach tak zwanéj *Harsenhaide*, w pobliżu

owego *Friedrichshainu*, będącego cmentarzem ofiar 18 Marca 1848, rozkoszuje sobie w szynkach i zabawach ludowych, przypominających stare, dobre czasy *Spiessbürger* berliński dawniejszéj daty, zacna istota, któréj powodzenie księcia kanclerza nie zdołały jeszcze z przedmieściowego mieszkańca marchijskiéj stolicy przelakierować na *dandego* cesarsko-prusko-niemieckiéj stolicy. Takich egzemplarzy trzeba szukać dzisiaj pod Lipami i na koncertach d-ra Bedinusa w Zoologicznym ogrodzie; Berlińczyka staréj daty znajdzie się za to jeszcze na kresach za *Aleksanderplatzem* i przy ujściach wschodnio-południowych *Landsberskiéj* ulicy.

Wśród owego gwaru i zakurzonego gorąca, wśród owego rozjazdu Berlina w najrozmaitsze strony świata, pozostają przecięż podstawnemi akkordami obecnéj harmonii czy dysharmonii berlińskiéj, *striki* robotnicze z rodzoną swą siostrą, noszącą miano *der Wohnungsnoth*. Ów kłopot o mieszkania co też za dziwne i oryginalne wywołuje objawy! Dawniéj toczyły się na tymże samym bruku polemiki filozoficznéj natury, walki z dziedziny i w dziedzinie ducha. Walki podobne wywoływały udział całéj intelligentnéj publiczności, która innych problemów nie znała i o inne słabo się tylko kłopotała. Jakże inaczéj w chwili obecnéj! Dzisiaj silą się filozofowie i ekonomowie polityczni nie nad znalezieniem kamienia filozoficznego, ani nad skutecznem rozwiązaniem kwestyi społecznéj, lecz męczą się nad załatwieniem prozaicznéj sprawy trudności mieszkań a nie są w stanie jéj rozwiązać i załatwić. Sypią się jak z rogu obfitości, jedna broszura po drugiéj, w kwestyi *der Wohnungsnoth* a mimo tego wszystkiego mieszkania coraz droższe, pomieszczenie zwłaszcza dla uboższéj części ludności coraz trudniejsze i wpływa szkodliwie na wewnętrzny charakter i zewnętrzną fizyonomię stolicy. Ateny z nad Sprei zamieniają się coraz bardziéj, tak na zewnątrz jak na wewnątrz, na targowisko bogatych giełdzistów i spekulantów; wkrótce przyjdzie im się cieszyć chyba tylko tradycyą minionéj sławy. Niezaprzeczona ta prawda odbija się mianowicie dotykalnemi i wiele mówiącemi cyframi statystycznemi na tutejszym uniwersytecie.

Jak wiadomo pościągało tu ministerstwo oświecenia wszelkie intellektualne siły, całych Niemiec na jakie się tylko zdobyć mogło i jakie mu się tylko pozyskać udało. Znalazły się powoli w posiadaniu katedr uniwersytetu berlińskiego znakomitości, jak Mommsen, Droysen, Frerichs. Cóż powiedzieć, gdy mimo to cyfry statystyczne wykazują, że w ostatniém mianowicie półroczu frekwencya uniwersytetu berlińskiego nie może iść w porównanie z frekwencyą innych uniwersytetów niemieckich, a że poblizki Lipsk góruje cyfrą sześciuset uczniów uniwersytetu przewyższających ogół studentów berlińskich? Eufemizm tutejszéj publicystyki, chęć ratowania pozorów i ratowania się pozorami,—nasuwa tu najrozmaitsze przyczyny i powody. Nasamprzód ma być winna pora letnia, kurz i piasek berliński. Berlin nie jest, powiadają dzienniki, miejscem przyjemnego pobytu w lecie; synowie muz wolą tedy przenosić się do otoczonego zielonością Lipska lub do uroczego Heidelberga. Inne pisma przypisują winę owego upadku frekwencyi uniwersytetu berlińskiego samym stosunkom uniwersyteckim, i odsłaniają przy téj sposobności mimowolnie może różne ujemne strony berlińskiéj wszechnicy. I tak naprzykład powiadają, że pp. Droysen i Mommsen, niemniéj jak sławny Ranke, mogą być bardzo znakomitymi badaczami i znawcami historyi, lecz że prawda pozostanie prawdą a fakt faktem, iż na uniwersytecie stolicy Cesarstwa Niemieckiego nie było w ciągu ostatniego półrocza kollegium traktującego dzieje Niemiec. Też same gazety wskazują niedostatek professora rzymskiego prawa w uniwersytecie berlińskim, kiedy uniwersytet lipski posiada znakomitość w rodzaju Wächtera. Wszystkie te przyczyny mogą być prawdziwe i spływać w pewnéj szczupłéj mierze na ubytek liczby uczniów w uniwersytecie stolicy. Główną jednakże, naczelną a prozaiczną przyczyną tego ubytku jest nie co innego jak klęska *der Wohnungsnoth!* Pokój, który przed dziesięciu laty kosztował miesięcznie pięć talarów, kosztuje dzisiaj przynajmniéj trzy razy tyle; inne potrzeby życia podskoczyły w cenie w podobnym stosunku; owe sześcio-srebrno-groszowe obiady w restauracyach pod Lipami w belwederze naprzeciw Blüchera i Scharnhorsta należą już do historyi,—a ponieważ uczeń uniwersytetu mogący poświęcić na swe utrzymanie summę 1000 talarów należy do rzadkości, wypróżnia się Berlin z zastępu młodzieży naukowéj by za to cieszyć się tém większym przybytkiem kommiwojażerów, agentów giełdowych, pomocników bankowych, uczniów i aspirantów stanu kupieckiego. Dobrze płatni nawet urzędnicy i wojskowi berlińscy nie znajdują się w możności utrzymania swych synów na uniwersytecie stołecznym i wysyłają ich do Halli, Lipska lub Greifswaldu. Takim to sposobem i takiemi to drogami wychodzi się z Aten na Nowy-York, zamienia się ze społeczeństwa uczonych, myślicieli i filozofów na zastęp *Börsenjobberów*.

Zostawmy jednakże każdemu co się należy, a przytoczemy zaraz dowód, że przecięż jeszcze i dla nauki umie Berlin popracować. Istniała jak wiadomo w Metzu od niepamiętnych czasów sławna na całą Francyę szkoła wojskowa, która szczyciła się pięknym i zasobnym w najniesłychańsze rzadkości księgozbiorem. Niechaj nie my, lecz sądy wojenne rozstrzygają, czy marszałek Bazaine poddając twierdzę, miasto i armię sobie powierzoną, nie mógł ocalić biblioteki dla Francyi, i czy też czasem nie to samo niedbalstwo, które pozbawiło oddanego drogą kapitulacyi w niewolę pruską żołnierza pociechy widzieć uchronionemi orły i sztandary, nie pozbawiło też Francyi saméj zbiorów naukowych, na które się wiekami składała. Nie wdając się w rozstrzyganie téj kwestyi, zapiszmy tedy tylko jako fakt z dziedziny naukowéj niemieckiéj, iż jak przeszłego roku oglądaliśmy w stolicy pruskiéj orły, sztandary, działa i kartaczownice francuzkie, tak znów tego roku i w tych dniach przybył do Berlina w charakterze *spoliów opimów* księgozbiór szkoły wojskowéj w Metz, wynoszący 40,000 tomów. Szczęśliwi nabywcy tego skarbu nie są jeszcze pewni, gdzie go pomieścić i do jakiéj z tutejszych bibliotek zaliczyć.

Dział *nekrologii* niemieckiéj z ostatnich kilku tygodni zapisuje na swych stronicach dwa przedewszystkiém, rozgłośniejszéj sławy nazwiska: *Fryderyka Gerstackera* i *Maryana Ottingera*. Pierwszy z nich zasługuje choć na kilka słów wspomnienia. Urodzony w roku 1816 w Hamburgu pokazywał od pierwszych lat młodości istnie Robinsonowe popędy. Ciągnęło go morze, ciągnęły zaoceanowe strefy. Idąc za tym niepowściągnionym prądem duszy, wybrał się w 21 roku życia do Ameryki. Przewędrował ją w znacznéj części pieszo jako strzelec i podróżny, schodził do szałasów dzikich Indyan, przemieszkiwał pustelniczo na stepach Texasu. Powróciwszy po kilku latach pobytu i ożeniwszy się w Niemczech, nie mógł przezwyciężyć swéj wędrowniczéj natury i jak żeglarz Sindbad z Tysiąca i jednéj nocy, puścił się w roku 1849 znów za ocean. Na ten raz puścił się do Brazylii, a biorąc ją za podstawę, przebiegł wzdłuż całą Amerykę Południową. Powróciwszy do ojczyzny, puścił się znów z księciem Wejmaru Ernestem Augustem do Nubii, Abissynii i Egiptu w kilka lat późniéj na wyspę Jawę i wyspy Spokojnego Oceanu. Podróże te, znajomość naoczna ze wszystkiemi prawie częściami ziemi posłużyły mu za tło do licznych niezmiernie powieści, opisów podróży, opowiadań dla młodych i starych. Powieści jego mianowicie noszą cechę amerykańskich romansów Coopera lub niezrównanych wiernością i świeżością opisów Sealsfielda. Umarł Gerstacker w Brunświku ostatniego dnia miesiąca Maja, pracując właśnie nad wykończeniem trzech-tomowego romansu do odcinka *Gazety Kolońskiéj*. Drugi ze wspomnionych *Edward Maryan Ottinger*, powieściopisarz i publicysta, odznaczał się mianowicie dowcipem i pewną satyryczną siłą. Pamiętna do dziś dnia a popularna bardzo swego czasu jest ciągnąca się przez lat kilka publikacya jego *Der Narrenalmanach* (Almanach szaleńców), rzecz pociągającéj oryginalności i szarpiącego w sensie liberalnym dowcipu. Kronika literacka niemiecka zapisuje niezupełnie może jako nowość, lecz jako ostatnią publikacyę zasługującą na poznajomienie z publicznością zagraniczną a nie wspomnioną dotąd w piśmie waszém, *Historyę Literatury XVIII wieku Hettnera*. Na naczelnym planie królują w pięknem i obszernem dziele p. Hettnera literatura niemiecka, francuzka i angielska. Ostatniéj mianowicie z epoki królowéj Anny, poświęca autor troskliwy obszerny i umiejętny rozbiór.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

SKARBONKA

(5 aktów p. Labiche i Delacour).

Omnia vanitas!......

Nie dziwcie się szanowni czytelnicy że pod tak smutném godłem zaczynamy pogadankę o nowéj komedyi. Usposobienie piszącego tłumaczy się tém że świeżo on oglądał przykład marności spraw doczesnych, ruinę błogich nadziei, a cierpliwych wysiłków ludzkich. Toż i boleśnie ścisnęło się mu serce na przedstawieniu „Skarbonki," bo wierzajcie, sługa wasz nie potrafiłby za nic i przenigdy cieszyć się widokiem udręczeń, jak to czynią niektórzy drapieżni żartownisie.

Ale nie obmawiajmy bliźniego. Tém lepiéj dla nas że jesteśmy miłosierni..

A teraz kto domyślny, niech raczy odgadnąć co zawierało się w téj *skarbonce?*

Jużciż, pieniądze.

Prawda były tam i pieniądze, ale zapozwoleniem... podobny wniosek chociaż tak prosty jak drąg, i tak jasny jak kruszec, którego istnienie przeczuliśmy natychmiast, zamało jeszcze posiada w sobie treści duchowéj, za skąpo w nim téj iż tak powiemy „miazgi filozoficznéj" która o ile spodziewać się godzi, stanowi piękną stronę waszéj przenikliwości. Zatem... bez fałszywego wstydu, jeśli wola...

Pytałem: co zawierało się w téj „Skarbonce?"

No, może ekonomiczna idea spółki?

Bynajmniéj.

Propaganda oszczędności?

Przeciwnie.

System wzajemnéj pomocy?

I to nie. W „Skarbonce" pp. Labiche i De-

Bo czem są świeckie cele? Iskrą tylko... Czem jest ziemskie wesele? Jedną chwilką!

Cordenbois i dzierżawca Colladan—to już i całe grono ofiar... wyświęconego w preferansie asa.



Dziewczynka ukąszona przez Węża. Kopia z obrazu Dupuis'a.

lacour, łaskawi moi, mieścił się właśnie klejnot zasady moralnéj, którą w łacińskim tekście przytoczyliśmy wyżéj.

Sześcioro ich było wierzących w możebność uczuć bez goryczy: ojciec i córka—to dwoje, siostra ójca i kochanek córki to czworo, aptekarz

Przez długi czas spokojnie upływały im dni i lata w ciszy prowincyonalnego ustronia; nadmiar pracy, sądząc z pozorów, nieobarczał nikogo



Widok miasta Kopenhagi.

a powszedniość życia urozmaicała się niewinną rozrywką. Wieczorami sąsiedzi grywali w karty składając do skarbonki umówioną kwotę ile razy as znalazł się w talionie, aż wreszcie po roku z drobnych pieniążków urosła summa wynosząca około czterystu franków.

Zawistny los osłonił ciężką próbę chwilową pomyślnością.

Atoli kontrybuenci dowiedziawszy się po obliczeniu składkowego funduszu o stanie interesów towarzystwa nieobawiali się żeby dobroczynna skarbonka miała stać się dla nich kiedykolwiek nową puszką Pandory. Czterysta franków przedstawiało kapitał nie lada, rozmyślano tylko nad tém, jakby go właściwie użyć, przyjąwszy za warunek że ma być obróconym na zabawę.

Odbyła się więc zbiorowa narada, któréj rezultat pomimo swobody losowania z góry już był przez gospodarza domu, p. Chambourré, ułożonym. Daremnie aptekarz domagał się uchwały kosztów na ucztę—bill smakosza jako nieodpowiedni ogólnemu życzeniu i niehygieniczny napotkał oppozycyę większości. Z kolei proponował p. Colladan dzierżawca wycieczkę na jarmark, lecz i tym razem nie zgodzono się na projekt do czego przyczynił się nawzajem Cordenbois rozdrażniony poprzednią odmową. Duch sprzeczności na dobre już przenikał do koła obradujacych, gdy w tém zabrał głos pan Champbourré siła i ozdoba towarzystwa.

Plan p. Champbourré poparty uznaniem dwojga narzeczonych i współczuciem podstarzałéj panny Leonidy nosił na sobie piętno niesłychanego radykalizmu. „Pojedźmy do stolicy" wyrzekł wnioskodawca i po krótkim oporze cztery szalone afirmatywy zwalczyły roztropność stronnictwa umiarkowanego.

Nazajutrz zacny partykularz był już na drodze do Paryża.

Niezawadzi dodać w tém miejscu że krańcowego Champbourré gra u nas p. Żółkowski, aptekarza p. Chomiński a dzierżawcę p. Ostrowski.

W stolicy połączyli się oni z p. Damsem. Temu jak zwykle wypadło z podrzędnéj roli zrobić wzorową. I rzeczywiście w klassycznym hotelowym słudze niewidzieliśmy żadnéj cechy zdradzącéj przybrany charakter, oprócz téj chyba, któréj artysta utaić nie chciał—oprócz talentu.

Umyślnie wymieniliśmy nazwiska znakomitszych aktorów przyjmujących udział w drugim akcie, żeby nie wdając się w szczegółowy opis dać wyobrażenie czytelnikowi jak komiczném musiało być śniadanie do którego zasiedli tacy biesiadnicy. Humoru tryskającego w gestach i przymówieniach obficiéj tu zaiste, niż gastronomicznych przysmaków, pomimo, że głodna rzesza nie żałowała uszczuplić na nie daru swéj „Skarbonki".

Jakoż uszczupliła go więcéj niż na to była przygotowaną. Powodem do tego posłużyły zręcznie ukryte zera pod boczną ramką jadłospisu, co podniosło cyfrę obrachowanych naprzód wydatków w stosunku jedności do dziesiątka. Rozgniewana w osobie p. Champbourré prowincya postanowiła niepłacić, co znowu niepodobało się stolicy reprezentowanéj przez garsona. Rozjemcę przedstawiała policya. W końcu Paryż wziął górę a zwyciężonych zaprowadzono do komissarza.

Odtąd śmiała wyprawa p. Champbourré zaczęła przynosić gorzkie owoce.

Omnia... omnia vanitas.

Z sześciu przybyłych znajdujemy w akcie 3-m cztery tylko osoby zagrożone gorszącym procesem, hańbą, wygnaniem, a może nawet galerami. Sprawa bowiem przyjęła niebezpieczny obrót z przyczyny zegarka który niespodzianie wypadł p. Champbourré z parasola na podłogę. Na zapytanie stróżów prawa do kogo należał ów z odciętym łańcuszkiem czasomierz, właściciel deszczochronu nie umiał dać stosownych objaśnień. Za to w bystrym swoim umyśle odszukał je od razu p. urzędnik policyi. Zegarek według zdania komisarza był skradziony a nieprawym jego posiadaczem nie mógł być kto inny tylko przybłęda odmawiający zapłaty za obiad, awanturnik i domniemany wódz prowincyonalnych oszustów p. Champbourré.

W tak krytycznéj chwili można było utracić przytomność ale wielki mąż, o którym mowa nie zachwiał się pod ciężarem niesłusznego oskarżenia. „Wywołajmy uśmiech spokoju na nasze oblicza" zalecał on sprzymierzeńcom „niech to będzie wyraźném świadectwem że nie poczuwamy się do występku."

I oskarżeni zasiadłszy rzędem na ławie jęli rozkosznie uśmiechać się, aby złożyć jak najokazalszy dowód swojéj niewinności. Sposób przedsięwziętéj obrony nie powiódł się jednak—niepowiodły się także i usiłowania ucieczki. Obciążeni nowemi zarzutami, nieszczęśliwi goście odesłani zostali pod strażą z policyjnego bióra do więzienia.

Lecz gdzież to podział się piąty współbiesiadnik? gdzież jest uzbrojony grubym flanelowym pasem zwolennik trufli i kwiat aptekarzy, Cordenbois? Opuściłże on cichaczem przyjaciół swoich w niedoli? Nie. Sumienny Cordenbois bezzasadnie posądzonym był o przeniewierstwo. On przed burzą jeszcze wymknął się z hotelu i w zupełnéj niewiadomości wypadków zakołatał o zmroku do drzwi.,. stręczyciela małżeństw.

Ponieważ akt czwarty zdradza tajemnicę samotnych przechadzek p. Cordenbois i my też dłużéj zachowywać jéj nie będziemy, owszem wyznać powinniśmy, że zjawienie się aptekarza w salonie p. Cocarel miało na celu zmianę półwiekowego kawalerstwa na poważną małżeńską szlafmycę, i że tegoż jeszcze samego wieczoru usłużny pośrednik przyrzekł ułatwić zbliżenie się stron interesowanych.

Tymczasem p. Cordenbois w ubraniu wydającém na przemian woń benzyny to piżma, czekał na przybycie kandydatki w mieszkaniu stręczyciela.

Piękność spóźniła się lecz któżby jéj nie usprawiedliwił zważywszy jak nadzwyczajne zatrzymały ją okoliczności?

Biedaczka siedziała zamknięta w kozie, wraz z bratem swoim swoim, siostrzenicą i Colladanem.

Łatwo więc wyobrazić sobie osłupienie p. Cordenbois, gdy więźniowie wydostawszy się podstępem z pod dozoru nieproszonéj opieki, wpadli do domu p. Cocarel. Surowa rzeczywistość strąciła nagle aptekarza ze szczytu marzeń w przepaść najgłębszego zwątpienia. Nad przyszłością jego zawisł miecz Damoklesowy ścigającéj policyi, w oczekiwanéj zaś aspirantce do ślubów dozgonnych poznał siostrę p. Champbourré z którą przez lat tyle grywał co wieczór w preferansa: dość szpetną i wcale dojrzałą pannę Leonidę.

Ale nietylko Cordenbois doznał zawodu zrobiwszy tak niepomyślne odkrycie. Niemniéj była strapioną p. Leonida. Już oddawna ogłaszała ona bezimiennie w dziennikach gotowość swoją do zaprzysiężenia wierności przed ołtarzem człowiekowi posiadającemu wyrażone w odezwie przymioty, chociaż dotąd nieprzyszło nikomu na myśl wymagać od niéj téj ofiary. Obecnie zaś gdy po otrzymaniu listu od p. Cocarel pospieszyła na hasło pełna najsłodszéj otuchy, zamiast nieznajomego okazu zjawił się przed nią, aż nadto dobrze znany aptekarz.

Wszakże zmartwienie panny Leonidy było przedwczesném. Sławny kantor pod firmą Cocarel niezostał jeszcze przez to wyczerpanym że mu ubył jeden z szeregowców. Otwarcie mówiąc, stręczyciel małżeństw już od początku nie wiele liczył na powodzenie zamiarów p. Cordenbois, i przedstawiając go Leonidzie uczynił to raczéj dla próby. W zapasie zaś miał innego pretendenta, który wkrótce potém wyświeżony i kłaniający się grzecznie, zbliżył się z uszanowaniem ku siostrze p. Champbourré.

Spojrzała, lecz jakby piorunem rażona odwróciła wnet twarz od straszliwego widma w czarnym fraku i w białych rękawiczkach. Zaznaczamy z przyjemnością tę scenę w grze pani Figarskiéj. Przestrach Leonidy zakłopotanie podczas rozmowy, giest którym nadchodzącemu w téj chwili bratu wskazuje komisarza, są najlepszemi momentami w jéj roli.

Nim naczelnik policyi zdołał wydać rozkaz aresztowania uciekających, już przerażona gromadka rozpierzchła się co sił wnogach starczyło.

Nazajutrz po przepędzonéj nocy pod gołém niebem zmęczeni i obszarpani tułacze spotkali wreszcie narzeczonego panny Champbourré (młodszéj), który przybywszy wczoraj z rana do Paryża szukał przez cały dzień swoich towarzyszy co jak widzieliśmy było bezskutecznem, lecz natomiast udało mu się przytrzymać złodzieja będącego sprawcą całéj katastrofy. Złoczyńca bowiem który skradł zegarek przyszłemu zięciowi pana Champbourré, chroniąc się przed pogonią zostawił swą zdobycz na parasolu przyszłego teścia, przechodzącego właśnie obok zbiega ulicą, i w ten sposób sprowadził na mieszkańców La Ferté-sous-Jouarre klęskę podaną ku wiecznéj pamięci przez autorów „Skarbonki."

Największą zaletę téj sztuczki stanowią zabawne sytuacye z których umiejętnie korzystali nasi artyści. Wyborne wykonanie ról głównych i staranność oddania mniejszych nadały przedstawieniu „Skarbonki" charakter artystycznéj jednolitości, niezamąconéj fałszywemi tonami komparsów. Prześladowany od losu i ludzi Champbourré był potężnym tryumfatorem na scenie. Zmienny co chwila a zawsze wierny sobie, zawsze prawdziwy i bez cienia przesady umiał on połączyć z naturalnością ruchów, słowa i całości charakteru, zadziwiającą rozmaitość. Przypatrując się warszawskiemu Champbourré, publiczność zapomina o błahéj osnowie sztuki, lecz pamięta o talencie Żółkowskiego przy którym nikną błędy i ożywiają się blade dowcipy pp. Labiche i Del...ur.

DZIEWCZYNKA

UKĄSZONA PRZEZ WĘŻA.

Obrazek dwojga naiwnych dzieci, z których chłopiec starszy znać tkliwém współczuciem przejęty ziele leczące do zranionéj stopki dziewczęcia przykłada, należy do tego kierunku tak zwanego nowogreckiego malarstwa we Francyi; grecką w nim jest właściwie tylko forma, to jest ubiór; grecka prostota i naiwność pojęcia piękna. Powszechnie ludzkiém równie dzisiejszém jak dawniejszém, jak i w przyszłości dobrém będzie zawsze to serdeczne, czyste i słodkie zapatrzenie się na człowieka, na sprawy jego codzienne i na tego ducha podniosłego, który nawet w tych drobiazgach życia, pięknem się na zewnątrz wyraża.

LITERATURA ZAGRANICZNA.

Dokończenie. (Ob. Nr. 62).

La fin du monde p. Étienne Baudry, préface par Ed. Laboulaye. Paris, E. Dentu, 1872.

We Francyi chłop istnieje od 1789 t. j. od czasu gdy posiadł ziemię (?), *waży* zaś od 1848, odczasu odkąd głosuje. Odtąd ludność podzieliła się na dwie kategorye. Jedna uchodzi za powołanych, druga za niepowołanych do zajmowania się sprawami publicznemi, albowiem instytucye pozwalają 19-stu 20-stym ludności nie myśleć o rzeczy powszechnéj, przyzwyczajając ich do myśli: że sprawy publiczne należą wyłącznie do adwokatów i ludzi mających posady, że tylko ci ostatni powinni poruszać koła machiny politycznéj, zwanéj rządem.

Podatki w Stanach Zjednoczonych dzielą się na dwie części: większa przeznaczona jest na potrzeby gminy, mniejsza—dla państwa. Nie dość tego. Prawo do pracy uznane jest w Ameryce w zasadzie i faktycznie, połowa całego podatku idzie do skarbu na ogólne potrzeby państwa i gminy; druga zaś wpływa do *kassy pracy* i używa się na *prace nowe*, na budowanie domów, zakładów fabrycznych, magazynów, śpichrzów, machin, na karczowanie lasów, na osuszanie ziem, na zakładanie kopalni, przeprowadzanie dróg, kanałów i t. d. Każdemu z opodatkowanych służy prawo w przeciągu lat 10 wynalezienia dogodnéj dla siebie roboty za pieniądze złożone w kassie pracy, ta zaś powinna opłacać robotnika. Sam opodatkowany nie ma prawa odbierać pieniędzy z kassy. W ten sposób robotnikowi nigdy nie zabraknie roboty. Po latach dziesięciu pieniądze stają się własnością gminy, która obowiązana jest wykonywać za nie roboty na swojéj ziemi.

Istotną podług autora przyczyną nienawiści chłopa ku istniejącéj obecnie formie rządu jest 1-o obawa podatku dochodowego, który dotknął by chłopa więcéj niż innych, gdyż on to ma największe dochody w stosunku do przestworu swéj posiadłości, a 2-o obawa kass pracy, które robotnikowi zrujnowaćby się nie dały.

Oczywiście autor „Skończenia świata" nie mógł powstrzymać się od wycieczki przeciwko ostatniéj wojnie. Za jedyny racyonalny powód wojny autor uznaje popęd *Czerwonych skór*, którzy się biją dla tego, że głodni, i pragną spożyć najprzód zapasy nieprzyjacielskie, a następnie samego nieprzyjaciela. Na gwardyę narodową również niełaskaw autor, żądając powszechnéj służby wojskowéj i wyboru naczelników drogą konkursu. W zakresie sądownictwa żąda zniesienia sądów tytularnych w trybunałach cywilnych i zastąpienia ich adwokatami wpisanymi w listę i zasiadającymi z kolei po trzech, z wyłączeniem obrońców uczestniczących w sprawie. W trybunałach apellacyjnych to samo. Trybunał obrachunkowy ustąpić winien izbie deputowanych; sąd przysięgłych—zastąpić organizacyę sądowniczą.

W epilogu autor raz jeszcze powraca do głównego założenia swojego. Obecnie, powiada, robotnik godzi w pana; pan broni się, a tymczasem chłop sieje, zbiera i przedaje... W ten sposób odbywa się likwidacya socyalna, chłop posiędzie wszystko, a inni będą zniszczeni. Likwidacya owa, na któréj robotnik buduje tyle nadziei, będzie niczém inném, jak przejściem ziemi w ręce tych, którzy ją uprawiają. Kapitały również przejdą w ich ręce, ponieważ chłop na produkta ziemi będzie naznaczał cenę, jaka mu się spodoba. Tak więc dola robotnika w likwidacyi społecznéj wyniesie zero.

Jeżeli więc robotnik i pan nie porozumieją się wzajemnie, wszyscy będą zgubieni. Robotnik zaś porozumie się z panem tylko pod jednym warunkiem. Warunkiem tym jest *tanie życie*.

Panowie żyją drogo, bo chcą tego. Pan może być prawodawcą, władzą wykonawczą, twórcą traktatów i ceł handlowych: niechże powstrzyma wywóz żywności, a zrobi życie taniém dla wszystkich. Przed laty 25, kiedy panowie byli właścicielami ziemskimi, środek ten byłby zgubnym. Posiadłości były duże i nie wszystkie uprawne. W braku wywozu byłoby jeszcze więcéj pól nieuprawnych. Obecnie żywność jest bardzo droga; produkcyi bynajmniéj nie zaszkodzi wzbronienie wywozu. Chłop z powodu zdrobniałéj własności zmuszony będzie uprawiać swą rolę. Jeżeliby przypuszczalnie zechciał uprawiać połowę jéj tylko, natenczas drugą połowę czasu poświęcaćby musiał panom, czego on nigdy nie zrobi. (?)

Jeszcze więc raz autor ogłasza zasadę brzmiącą w następujący sposób: „Skoro artykuły żywności mogą znaleźć pomieszczenie pewne i zyskowne w żołądkach kraju, ani rozumnie, ani politycznie jest ze strony rządu ułatwiać wywożenie ich za granicę."

Taka jest w głównych zarysach treść książki p. Baudrego, dającéj się czytać z wielkiém zajęciem i korzyścią. Swiadczy ona o niepospolitym odmęcie panującym w zasadach i teoryach Francuzów, o nieustanném potrącaniu się zgodnych z natury swojéj interesów, słowem, o nienormalnym przejściowym stanie społeczeństwa. Sam autor jest wcielonem świadectwem tego odmętu, poświęcając tyle wolności i trudu walce z zasadą wolnego handlu, a co gorsza z ogromną większością własnego narodu, ze stanem niezbędnym dla społeczeństwa i pomimowiednie pracując dla owéj nienawiści społecznéj, o któréj szkodliwości sam tyle wymównych napisał wyrazów.

Najlepszą krytyką ekonomicznych zasad autora byłaby teorya wolnéj zamiany, znana każdemu, komu nieobce są elementarne pojęcia ekonomii politycznéj. Walcząc bronią autora, moglibyśmy go zapytać, dla czego w przewidywaniu potwornéj a sztucznéj drożyzny, nie przypuszcza współzawodnictwa zagranicy, napływu żywności z Węgier, z Odessy z Ameryki?... Współzawodnictwo jest najlepszym regulatorem cen... Dla czego zastrasza go perspektywa nieuprawnych niw ojczystych, gdy pokłady statków angielskich i niemieckich roją się tysiącami wychodźców szukających pracy gdzieś w obcym świecie?

Co do upadku przemysłu, cywilizacyi, sztuk pięknych i t. d., mającego być skutkiem zdrobnienia własności ziemskiéj i pochłonienia bogactwa narodowego przez stan wieśniaczy, dla czego autor nie przypuszcza możności assocyacyj, wiążących drobniutkie siły w olbrzymie potęgi ekonomiczne?... Dla czego zapomina, że i chłop jest człowiekiem, i że bogactwo w połączeniu z oświatą zrobi go istotą również czułą na potrzeby cywilizacyi, jak inne stany społeczne.

Ed. Laboulaye w liście do autora, dołączonym do dzieła w kształcie przedmowy, bardzo dobrze określa istotę poruszonych przez p. Baudrego zadań. Lata 1789 i 1848 rzeczywiście były, podług Labualaya, rewolucyami rolniczemi, obdarzyły bowiem chłopa własnością ziemską i przygotowały nowy porządek społeczny. „Nie przypuszczam, powiada znakomity professor, ażeby cała Francya stała się własnością chłopów. Sądziłbym, że wypada odróżniać kraje wielkiéj i małéj uprawy. Lecz przy swobodnéj zamianie, tak sprzyjającéj wywozowi produktów rolniczych, sądzę, że chłop posiędzie wielką część ziemi i odpowiednią władzę... Czy należy się przeto obawiać roli, którą przyszłość gotuje chłopom? Nie — skoro wieśniaka prawdziwie oświecać zaczniemy. Nie dość jest uczyć go czytać, pisać i rachować, lecz trzeba wychowywać w istotném znaczeniu tego wyrazu. Należy mu dać, jak w Stanach Zjednoczonych, wykształcenie moralne i polityczne, świadomość praw i obowiązków obywatelskich, przyzwyczaić go do uważania spraw gminy za swoje własne i do zarządu niemi z poświęceniem się i oszczędnością. Pod warunkami takiemi przygotowujące się przeobrażenie społeczne nic nie ma w sobie strasznego. Najpiękniejsze demokracye starożytne i nowoczesne, Rzym, Szwajcarya, Ameryka—przedstawiają rządy właścicieli-rolników. Robotnik wielkich miast, skutkiem upodobań zbytkowych i względnie dobrego bytu, nie ma owéj prostoty i trzeźwości, które powinny być cnotami republikanina. Z instynktów i obyczajów jest on monarchistą, — wprawdzie mimowiednie; lecz nieustanna sprzeczność pomiędzy pojęciami i życiem robi go wiecznie niezadowolonym, niesfornym i nieszczęśliwym." Zgodnie z p. Baudrym, Laboulaye twierdzi, że nienawiść robotnika dla przedsiębiercy jest zgubną dla tamtego, że ruina panów będzie ruiną rękodzielnictwa. Gdy chłop nie oszczędza czasu i pracy w widokach nabywania i użyźniania ziemi, robotnik za nadto wiele myśli o zmniejszeniu pracy a przysporzeniu zarobku. Złudzony utopiami socyalistów, największych nieprzyjaciół swoich, zapatruje się na kapitał jako na wroga, kiedy ten w rzeczywistości wyzwala go. Nie przypuszcza, że tak zwana likwidacya socyalna, t. j. ruina kapitału industryjnego, pociągnie za sobą zamknięcie warsztatów. Ciemny i podszczuwany nie wie, że przygotowując klęskę ogólną, pierwszy stanie się jéj ofiarą.

Laboulaye słusznie przeczy, ażeby wyniesienie się chłopa miało być zgubném dla innych stanów. Przemysł, rękodzieła, zajęcia wyzwolone, nie przestaną kwitnąć po miastach i stwarzać tam wielkich majątków, jak w Anglii i w Ameryce. Nie będzie już wprawdzie arystokracyi ziemskiéj, za nadto osłabionéj obecnie, lecz zawsze znajdą się ludzie bogaci i używający wczasu.

W dawniejszéj Francyi liczono się wyłącznie ze szlachtą. Za Ludwika XIV obok szlachty występuje na widownię stan średni. Wielcy administratorowie, jak Colbert i Louvois, dumni członkowie parlamentu zasiadający na liliach, byli synami albo wnukami wzbogaconych mieszczan. Dzisiaj należy się liczyć ze wszystkimi. Izba deputowanych, jak w Anglii, powinna stać się reprezentacyą miast zarówno jak wsi. Pozostaje tylko oświecić chłopa, ażeby przez nienawiść podatku i ciemnotę nie skończył z formą rządu istniejącą obecnie.

L. Sowiński.

MIASTO KOPENHAGA.

Stolica Danii na wyspie Zelandyi, początek swój datuje od XI wieku, w którym to czasie było zaledwie osadą rybacką i dopiero Axel arcybiskup lundzki, jako zbrojny prałat, wystawiwszy tutaj w roku 1168 warowny zamek i port wojenny, położył pierwsze fundamenta przyszłéj jego wielkości. Jakoż przy rozgałęzionych dzia-

łaniach związku hanzeatyckiego, nabywszy znaczenia handlowego i wzrosłszy w zamożność, w roku 1443 zostało rezydencyą królewską która tutaj z Röskild przeniesioną została. Miasto dzieli się na trzy części: Stare miasto, Nowe miasto i Christianshavn na wyspie Amager, łączącéj się z Zelandyą za pośrednictwem kanału Kalleboe-Strand tworzącego port, a ku północy przystań. W latach 1728 i 1794 prawie zupełnie zniszczało od pożaru, a w r. 1824 wiele ucierpiało od zalewu morskiego. Do najcelniejszych gmachów należą cztery zamki królewskie: Christiansborg, Amalienborg, Rosenborg i pałac gotycki. Z kościołów wyróżniają się: Panny Maryi, Ś. Trójcy i Zbawiciela. Kopenhaga zajmuje ważne stanowisko tak pod względem fabrycznym, jak również handlowym, stanowiąc główny punkt nietylko Danii ale całéj północy, utrzymuje ciągłe stosunki z Rossyą, Prussami, Anglią, Francyą, Szwecyą i t. p. za pośrednictwem stałéj komunikacyi urządzonéj paropływami. Na wyspie Hven jest dom Tycho-Brahego, w którym mieszkał ów astronom, oraz ruiny jego obserwatoryum.

SKARB NA WYSPIE KOKOSOWÉJ.

przez

T. Kirchhoffa z San Francisco.

W ostatnich dniach lutego 1872 r. bryg „Laura" pod dowództwem kapitana Tomasza Welsh i małżonki jego Elizy Welsh, opuścił przystań San Francisco, i przez „złote wrota" wypłynął na Ocean Spokojny w celu odszukania skarbu ukrytego przez rozbójników morskich na Wyspie Kokosowéj a wynoszącego drobnostkę: bo sześćdziesiąt pięć milionów dolarów w złocie, srebrze i klejnotach. W ciągu ostatnich lat siedmnastu, spora cyfra najróżniejszych wypraw (większa część z San Francisco, niektóre z Ameryki środkowéj) szukała owego skarbu na Wyspie Kokosowéj, — ale wszystkie powróciły z niczem, — co przypisywano rozlicznym przyczynom. Sceptycy w San Francisco nazywają skarb na wyspie Kokosowéj olbrzymim humbugiem, który nie istniejąc w rzeczywistości,—nie może też być odnalezionym; biorący udział w wyprawach wierzą jak w Boga w sześćdziesiąt pięć milionów, które gdzieś muszą być zakopane na Wyspie Kokosowéj, i twierdzą że nieznalezienie pochodzi tylko z zawiści i nieufności między poszukującemi, którzy wspólnie zazdroszczą sobie tak olbrzymiego bogactwa.

Zdziwiony czytelnik będzie zapewne ciekawy dowiedzieć się, jak się rzecz ma z owym skarbem rozbójników morskich, i gdzie na kuli ziemskiéj znajduje się owa Wyspa Kokosowa, o któréj nie wiele kto chyba zasłyszał w swoich studyach geograficznych Wyspa Kokosowa leży pod piątym stopniem i trzydziestą trzecią minutą szerokości północnéj, blizko trzysta mil morskich na zachód od Panamy na Oceanie spokojnym. Górzysta wyspa pokryta zwrotnikową roślinnością i zupełnie niezamieszkana, ma długości dwie mile, szerokości milę. Sterczy ona na Oceanie odosobniona i oddalona od wszelkich kommunikacyj handlowych morskich. Ktoby miał istotnie do ukrycia skarb, — nie mógłby stósowniejszego miejsca znaleźć sobie na naszéj planecie. Jakim sposobem sześćdziesiąt pięć milionów dolarów (w złocie, srebrze i klejnotach) nagromadzone zostało na Wyspie Kokosowéj, pokaże się z biografii kapitana Welsha, którą krótko zamierzam powtórzyć podług opowiadania samego poszukiwacza skarbu, sławnego na całe San Francisco.

Kapitan Tomasz Welsh i jego małżonka, są jedynemi pozostałemi przy życiu osobistościami z załogi statku Korsarskiego, którego krwawa karyera rozpoczęła się w początku obecnego stulecia. Kapitan Welsh podaje się za syna szlachcica angielskiego z hrabstwa Kent. Matka, przed zaślubieniem owego szlachcica, kochaną była namiętnie przez dumnego, pięknego, ale niestety bardzo ubogiego Anglika. Na rozkaz jednakże surowego opiekuna (była sierotą) musiała wbrew swéj woli pójść do ołtarza z nienawistnym sobie człowiekiem. Dumny i piękny, lecz ubogi Anglik z rozpaczy został rozbójnikiem morskim, i postawił sobie jednocześnie za cel życia, zemścić się straszliwie na tym, który zniszczył jego szczęście domowe. W roku 1813 urodził się Tomasz Welsh. Towarzyszką lat dziecinnych naszego bohatera, była Eliza, córka dawnego opiekuna jego matki, a obecnie małżonka Tomasza, o lat ośm od niego starsza. Gdy pewnego dnia dzieci szukały muszel na brzegu morza (Welsh miał wtedy cztery lata, Eliza dwanaście), napadł na nie jakiś wysoki z dziką powierzchownością człowiek, — dawny kochanek matki Tomasza, a wtedy już rozbójnik morski, porwał je na swój okręt stojący na kotwicy w pobliżu wybrzeży angielskich, — a statek odpłynął wkrótce do Indyj Wschodnich. Zemsta kapitana statku korsarskiego, nie udała się wprawdzie w zupełności, zamierzał on bowiem uprowadzić razem ojca, matkę, opiekuna i dzieci, — niemniéj jednak z dziećmi nigdy już do Anglii nie powrócił. Mały Welsh był formalnie wychowywany na korsarza, a Eliza mieszkała w kajucie kapitana.

Statek korsarski był w ciągu następnego roku postrachem wszystkich kupców na wodach wschodnio-indyjskich. Ale przedsiębierczy kapitan szukał większéj areny działalności i zwrócił oczy na byłe państwo Inkasów. Kiedy w roku 1818, osady hiszpańskie w Ameryce południowéj, powstały przeciwko metropolii, przepłynął korsarz około przylądka Horn na Ocean południowy, gdzie mu się trafiała wyborna sposobność rabowania statków kupieckich i galionów hiszpańskich naładowanych złotem z Peru. Załoga statku którą składało stu sześćdziesięciu Anglików, Szkotów i Irlandczyków, była niezwyciężoną pod dowództwem bohaterskiego kapitana. Szybko płynący bryg uzbrojony był ośmiu działami, a ciężkie niewydrążone kule wysoko ustawionéj armaty „Long Tom" zwanéj, nigdy nie chybiały celu. Najprzód wystrzeliwano załogę na statkach kupieckich, — poczém zahaczano je. Znalezione na nich skarby: piastry dublony, sztaby złote i srebrne,—naczynia srebrne, klejnoty, wyładowywane były na pokład brygu. Dzielniejszych majtków z zabranego statku zaliczano do rekrutów korsarskich, reszta zaś: żywi i nie żywi wraz ze statkiem, szła zawsze na dno morskie. Raz tylko jeden statek korsarski blizkim był klęski i niewoli. Fregata francuzka z załogą pięciuset żołnierzy marynarki zahaczyła bryg i wystąpiła z nim do walki. Francuzi byliby niezawodnie odnieśli zwycięztwo, gdyby kapitan korsarski nadludzką odwagą, nie był podbudził swoich ludzi do czynów bohaterskich. Sam on wpadłszy w zbitą gromadę nieprzyjaciół, tak rąbał na lewo i na prawo, że Franzuzi zmuszeni zostali do ucieczki. Przy téj rozprawie dostało się młodemu Welshowi cięcie szablą po twarzy, od którego blizna do dziś dnia mu pozostała. Załoga statku liczyła po tém krwawém zwycięztwie tylko sześćdziesiąt głów.

Chcąc dokompletować zmniejszoną w ten sposób załogę, kapitan wyladowywał teraz częściéj na brzegach chilijskich i peruwiańskich, gdzie zawarł z krajowcami przymierze przyjaźni,— w skutek którego zawiadamiano go zawsze wcześniéj o odpłynięciu galionów hiszpańskich naładowanych srebrem i złotem; przy takiéj pomocy rabunek znacznie był ułatwiony. Stopniowo powiększały się skarby na statku korsarskim i doszły do takich olbrzymich rozmiarów, że kapitan zaczął już myśleć o miejscu, w którémby niezliczone miliony bezpiecznie zachować było można. Odkrył nareszcie bezludną Wyspę Kokosową, i bez namysłu uczynił z niéj skład główny swoich bogactw. W łonie góry wysokiéj na 300 blizko stóp, znaleziono jaskinię, która stała się główną kwaterą korsarzy, i w któréj ukrytych sklepieniach nagromadzono wszystkie zdobycze. Całemi tygodniami odbywały się tu dzikie uczty pijackie, wśród których rozbójnicy bawili się obliczaniem skarbów,—dopóki statek nie odpłynął na nowe grabieże. W chwili odjazdu jaskinia tak była zawsze zamaskowaną, że nikt nieświadomy topografii miejscowości, odkryćby jéj nie mógł.

Mały Welsh stał się wkrótce ulubieńcem rozbójników morskich, a kapitan obchodził się z Elizą jaknajłagodniéj. Zemsta, którą chciał spełnić nad obojgiem dzieci, poszła w niepamięć, a Welsh przypomina sobie nawet że korsarz nazywał go często swoim synem. Kapitan widocznie szukał chluby w wychowaniu młodzieńca na dzielnego korsarza. Ale Welsh i Eliza, która wyrosła na piękną dziewicę, nie ufali zamiarom kapitana, i dawno już zamyślali o ucieczce ze statku. Na nieszczęście kapitan, który mógł naturalnie czegoś podobnego domyślać się, nie nastręczał im do tego żadnéj sposobności. Nareszcie po siedmiu latach pobytu między rozbójnikami, doczekali się chwili wybawienia *(d. n.)*



Panu T. K. w Rogalach. Nie żądamy ani zwrotu, ani dopłaty za Nra znajdujące się podwójnie, zwrócone w skutek reklamacyi przez pocztę.

Panu W. w Lubartowie. Rs. 3 pocztą odebraliśmy.

Wydawca, Hipolit Orgelbrand. Дозволено Цензурою. Варшава 24 Іюля (5 Августа) 1872 г. **Redaktor,** Mieczysław Orgelbrand Mag. Pr. i Adm.

W Drukarni S. Orgelbranda Synów, w Warszawie ulica Bednarska Nr. 20.